

Żyjemy w ciele dzikiego zwierzęcia. Rozmowa z Garym Snyderem

Za Pana wierszami ukrywają się wydarzenia, które Pan przeżył. Wybrałem kilka wierszy z różnych okresów twórczości i pomyślałem, że mógłby Pan przyporządkować im wydarzenie, które się za nim kryje. Pierwszy jest „Brukowanie” („Narzut kamienny”).

Gary Snyder: Rzeczywiście, za każdym wierszem stoi jakieś wydarzenie. Za każdym razem wiersz jest jednak wierszem. Gdybym chciał opisać wydarzenie, opisałbym wydarzenie, ale napisałem wiersz. Zdaję się na czytelnika, aby się zastanowił, jaka historia mogłaby się za nim skrywać. Jestem artystą, pisarzem, i piszę to, co chcę napisać.



Gary Snyder. Fot. Matouš Mihaliček (ekolist.cz)

No tak, ale gdy pisze Pan esej...

...jeśli będę chciał napisać esej, napiszę esej.

Rozumiem, że próbuje Pan się precyzyjnie wyrazić, a wynikiem tego jest wiersz. To tak, jakby w tyle głowy kłębiły się myśli, a do niektórych z nich pasuje forma ekspresji, jaką jest esej, a do innej - wywiad.

Dokładnie. Tak robię, gdy jest taka potrzeba.

A teraz ma Pan możliwość wypowiedzieć się w formie wywiadu. Oczywiście zależy tylko od Pana, czy uzna Pan, że istnieje taka potrzeba...

Dobrze. Opowiem Panu, co bym powiedział o tym wierszu podczas publicznego odczytu. „Brukowanie” (ang. riprap) jest starym angielskim słowem, którym określa się wykładanie kamieniami brzegów rzek. Czasami metodą brukowania buduje się też mola, które na wybrzeżu ochraniają małe łódki przed falami. Słowo pochodzi od starych, angielskich sztolni, skąd wydobywano kamienie. Proces ten nazywano „riprap”. Nie wiem, jak to się stało, że ten termin zaczął być używany także do opisu budowania i naprawy dróg w północno-zachodniej Ameryce. Kiedy pracowałem przy budowie dróg, słowa „brukowanie” używali głównie starzy górnicy i Indianie. Nawet im nie przyszło do głowy, że kiedyś miało to coś wspólnego z wodą i rzekami.

Szczególnie interesujące w tym było to: wysokie góry Sierra Nevada jeszcze niedawno, przed zaledwie 10 lub 11 tysiącami lat, pokryte były lodowcem. Ten lodowiec w niektórych miejscach tak wygładził kamienie, że są gładkie jak szkło, w słońcu błyszczą jak wypolerowane. Mówi się na to „polerowany lodowiec”. Chodzi o miejsca tak śliskie, że nie ustanie na nich koń. Ludzie owszem, ponieważ mają chropowate podeszwy do chodzenia po górach, ale konie i muły mają metalowe podkowy, które sprawiają, że ślizgają się w takich miejscach. Gdy budowaliśmy drogi i natknęliśmy się na takie miejsce, musieliśmy dynamitem rozłupać trochę powierzchni skały, a następnie poukładać kamienie na śliskim miejscu i tak dopóki nie dostaliśmy się z powrotem na zwykłą skałę. Ta praca zainspirowała mnie do napisania wiersza „Brukowanie”. Jest w nim mowa głównie o poruszaniu i umiejscawianiu kamieni. Lubię myśleć o brukowaniu z punktu widzenia języka angielskiego. Angielski jest pełen jednosylabowych słów, głównie staroangielskich, które mają charakterystyczny rytm „pam, pam, pam, pam”. Podobny jest chiński. A zatem składanie kamieni,

brukowanie, jest jak mówienie po staroangielsku (śmiech).



Fot. Radosław Ślusarczyk

Kolejny nosi tytuł „Ta baśń jest dla niedźwiedzia”. Ten nie jest oparty na rytmie brukowania.

Nie, chodzi o inny język. Zawsze interesowałem się historią i kulturami pierwotnymi. Również ciągle żyję w pobliżu niedźwiedzi i muszę się z nimi jakoś „dogadać”. Przez te lata spotkałem się z wieloma historiami o niedźwiedziach i z „niedźwiedzią” mitologią z Finlandii, Rosji, Kanady, Alaski oraz z różnych stanów USA. „Ta baśń jest dla niedźwiedzia” ma wplecioną całą tę tradycyjną wiedzę różnych kultur oraz niektóre moje własne doświadczenia z niedźwiedziami. Szczególnie odnosi się do legendy rdzennych mieszkańców Ameryki, o kobiecie, która poślubiła niedźwiedzia. Wersja, do której się odwołuję, jest chyba tlingitska¹. Różne wersje tej opowieści można spotkać w całej Kanadzie.

Wspomniał Pan, że do wiersza włączył także własne doświadczenia z niedźwiedziami. Ma ich Pan wiele?

O mój boże... Mam z niedźwiedziami mnóstwo doświadczeń, ale nic spektakularnego.

Żadnej walki?

No wie Pan, nie walczylibym z niedźwiedziem... A wie Pan, co się z reguły dzieje w takich sytuacjach? Strach po obu stronach. Z niedźwiedziem spotykamy się zwykle przypadkiem. Idziemy obok jakiegoś głązu lub przez krzaki, a tu niedźwiedź. Człowiek się przestraszy i tym wystraszy niedźwiedzia. Ty boisz się jego, a on ciebie. Czasami takie spotkania kończą się poranieniem człowieka. Podczas gdy baribal [północnoamerykański niedźwiedź czarny - przyp. red.] raczej ucieknie, grizzly [podgatunek niedźwiedzia brunatnego - przyp. red.] może zaatakować, jeśli czuje się zagrożony. Oczywiście i baribal od czasu do czasu kogoś zabije, więc żadna zasada nie jest tu stuprocentowo pewna. Ponadto, niedźwiedzie często włamują się, lub próbują włamać, do szałasów, domów czy samochodów. To się dzieje stale. Zdarza się to zarówno mnie, jak i moim sąsiadom. Dlatego musimy uważać na odpadki i jedzenie. Nigdy nie zostawiamy jakichkolwiek odpadów na zewnątrz. Gdy jemy mięso, kości palimy. Jedna kość może zwabić niedźwiedzia. Niedźwiedzie są u nas tak powszechne, że w sezonie łowieckim można na nie polować. Poza sezonem można zastrzelić niedźwiedzia tylko jeśli są z nim problemy.

Czy zabił Pan kiedyś niedźwiedzia?

Nie. Nie musiałem. W przypadku baribala to nawet nie wchodzi w rachubę. Chyba jedynie gdyby włamał mi się do domu i zaatakował. W takiej sytuacji człowiek broniłby się. Podczas wędrówek po dalekiej północy Alaski, najniebezpieczniejsze jest przekraczanie potoków. Gdy idzie się tundrą, nie ma problemu, gdyż nie ma drzew. Jednak gdy zbliżymy się do strumienia lub rzeczki, dookoła zwykle są krzaki lub wierzby, gdzie może być grizzly. Dlatego właśnie przy zbliżaniu się do potoku trzeba gwizdać, krzyżeć, zachowywać jak najgłośniejszy, aby grizzly usłyszał, że nadchodzimy i nie doszło do zaskakującej niespodzianki. Podstawowa zasada brzmi: żadnych niespodzianek. Jeśli niedźwiedź jest nad potokiem i nas usłyszy, sam pomału odejdzie. Człowiek musi być także przygotowany na użycie gazu pieprzowego, którym można prysnąć na 3-4 metry. Zatrzyma to niedźwiedzia i zmusi do odejścia. Użycie strzelby to naprawdę ostateczność.

Jeden z Pana wierszy jest zatytułowany „Wędrówka”. Pan sam ma bardzo ciepły stosunek do

chodzenia. O jakim wydarzeniu mówi ten wiersz?

Napisałem go latem 1955 r., gdy pracowałem w drogowej brygadzie budowlanej – małej grupie ludzi, która obozowała w górach Sierra Nevada, 3000 m n.p.m. i naprawiała drogi. Budowanie dróg to nie tylko brukowanie, ale mnóstwo innych rzeczy. W zależności od rodzaju skały i od podłoża. Czasami trzeba było nawet zbudować most. Innym razem musieliśmy oczyszczać teren kilofem i łopatą. Jeszcze innym – ścinać drzewa i odwalać je na boki. Musieliśmy zrobić drogę na tyle szeroką, aby mogły po niej przejść konie. Mieliśmy ze sobą bardzo mało rzeczy. Warunki były naprawdę ciężkie. Byli tam ze mną trzej młodzi Meksykanie, trzej starzy górnicy, kilku studentów i jeden Indianin – kucharz. To była cała brygada. Żadnego telefonu. Żadnego połączenia ze światem. Trzy dni od najbliższej drogi. Co dwa tygodnie karawana złożona z kilku mułów dowoziła nam żywność i pocztę. Pracowaliśmy sześć dni w tygodniu. Wiersz „Wędrownik” napisałem w dzień wolny. Dla odświeżenia wybrałem się na wycieczkę. Inni iść nie chcieli.

A gdyby chcieli? Wzięłby ich Pan?

Oczywiście, ale oni i tak by nie poszli...

Pytam dlatego, że może chciał Pan być sam?

Nie. Choć właściwie tak. Nigdy nie chcę być sam na tyle, abym powiedział „nie”. Niemniej, jestem całkiem zadowolony także, gdy jestem sam. Wtedy szedłem kanionem, wzdłuż rzeczki w regionie północnego Yosemite. Wiersz jest opisem tej wędrowni, przy czym starałem się, by opisywał ją jak najbardziej „fizycznie”, jak najkonkretniej.

W wierszu „Zmarszczki na gładkiej tafli” zawarł Pan wers: „natura nie jest książką, ale przedstawieniem, jest starą, wysoką kulturą”. Może Pan bardziej szczegółowo wyjaśnić, co miał na myśli? Ten wiersz wydaje mi się dość ważny w Pana poezji.

To jest istotny i przemyślany motyw. Zawiera wiele filozoficznych przemyśleń. Oto kilka z nich: Język to nie pisanie, lecz mowa. Pisanie jest jedynie zapisem języka. Ludy, które nie mają pisma, mają język mówiony i używają go wcale nie gorzej niż my. Gdy nie ma pisanej literatury, rozkwitają przekazy ustne, opowieści, w których zawarte są tysiące i tysiące historii, motywów, pieśni. Nie istnieją kultury, które nie miałyby kultury. Prehistoria jest pełna inteligencji, świadomości, wiedzy.

Współcześni ludzie mają skłonność zakładać, że przed pojawieniem się pisma nie istniało nic interesującego. Spotkania z rdzennymi mieszkańcami Ameryki i studiowanie ich kultury, nauczyły mnie, że to nieprawda. Wprawdzie Majowie mieli system pisma, ale większość ówczesnych ludów Ameryki Łacińskiej, nie miało go. Mimo to rozwinęli przecież fantastyczną kulturę, bogate przekazy ustne oraz wysoki poziom wiedzy i nauki.

Ludzie mają podobne przeświadczenie, że religia jest zapisana w książkach. Żydzi mają Torę, chrześcijanie – Biblię, muzułmanie – Koran. Hinduizm jest mniej zależny od ksiąg, ale także ma swoją Bhagavadgītę i kilka innych ksiąg. Religiami „pisanymi” są przede wszystkim judaizm, chrześcijaństwo i islam. Większość pozostałych, dużych religii świata, nie wytworzyła swoich świętych ksiąg i nie mówi „tutaj jest wszystko zapisane”.

A co z Tao Te Ching?

To wartościowa książka, ale nie jest to święta księga. Istnieje termin „religia księgi”. Są to te religie, które mają przynajmniej jedną świętą księgę. Właściwie jest jeszcze jedna religia, która ma świętą księgę – Sikhowie w Indiach.

Cały ten nacisk kładziony na pismo, wiążący się z zachodnim, chrześcijańskim pojmowaniem świętych ksiąg, doprowadził mnie do metafory, że przyroda jest jak książka. „Możemy czytać w księdze natury” – mawiają niektórzy ludzie. Tylko, że w ich rozumieniu oznacza to, że wiedza jest zależna od informacji pisanej, a kluczem do niej czytanie.

Wschodnioazjatycka mentalność różni się od zachodniej. To, co w zachodnim myśleniu jest pojmowane jako fenomen rzeczy, zjawisko, w myśleniu wschodnim pojmuje się jako proces, doświadczenie, jako ruch, energię. Świat jest w rzeczywistości przepływem energii. Nie jest to coś, co można „przeczytać” jakimkolwiek statycznym sposobem, gdyż znajduje się w nieustannym ruchu. W tym właśnie sensie przyroda jest jak przedstawienie.

Gdy pójdziemy dalej tym tropem, moglibyśmy zapytać: „co dawni ludzie robili, aby wyrazić swój sposób rozumienia świata”. Tańczyli. Mieli różne ceremonie i bardzo złożone rytuały. Znajdziemy je np. u Indian Pueblo lub w starożytnej Grecji. Właśnie rytuały, ceremonie i przedstawienia były najdokładniejszym ludzkim wyrażeniem tego, co nazywamy ekologiczną podstawą świata.



Fot. Radosław Ślusarczyk

Samej przyrody wszakże starożytni nie uznawali za księgę, ale widzieli, że się zmienia, że pokazuje, na co ją stać. Wpadli więc na pomysł, że my, istoty ludzkie, także możemy pokazać, co umiemy – trzeba tańczyć. Ważna jest tu jeszcze jedna kwestia. Ludzie zawdzięczają naturze wszystko, czyż nie? Stale z niej czerpiemy – drewno na opał, jedzenie, warzywa i mięso, współcześnie także minerały czy paliwa kopalne. W przeszłości nic nie było za darmo. Gdy coś się brało, trzeba było dać coś w zamian. Co ludzie dają światu? Czego oczekuje od nas natura? Członkowie społeczności plemiennych i starożytni odpowiadali – natura lubi muzykę. Natura lubi taniec. Natura lubi, gdy jej coś prezentujemy. Dawni ludzie byli przeświadczeni, że gdy my, ludzie, po zmroku tańczymy i śpiewamy przy ognisku, natura podchodzi bliżej i słucha. I mówi: „Ach, ci ludzie. Ci są mądrzy. I zabawni”. Tak więc naszym zadaniem jest zabawiać przyrodę.

Bardzo lubię to wyobrażenie. Dodałbym tu jeszcze jedną myśl: Europa to okropne miejsce. Od ponad tysiąca lat ludzie się tutaj zabijają. Podobnie robią z przyrodą. Co jest zatem wartością, która to wszystko równoważy? Jedyne, za co Europa otrzymuje od natury przebaczenie, to muzyka, która powstała na tym kontynencie. Wspaniała muzyka. Wszyscy myślą, że to przemysł i władza chronią nas przed przyrodą. W rzeczywistości chroni nas sztuka. Europejska muzyka to jedyna rzecz, za którą natura jej wszystko odpuści [śmiech].

W książce „Góry i rzeki bez końca” jest wiersz „Wersy o Ziemi”. Trochę przypomina mi on wiersz japońskiego poety Nanao Sakakiego „To wystarczy”.

Znam wiersz „To wystarczy” od dawna, ale nie wiem, czy on miał wpływ na mnie, czy odwrotnie. „Wersy o Ziemi” napisałem w Australii na początku lat 80-tych, gdzie byłem razem z Nanao. Zostaliśmy zaproszeni przez kilku australijskich naukowców, którzy ściśle współpracowali z Aborygenami. Zorganizowali oni dla nas wizyty w kilku odległych, aborygeńskich osadach. Biali nie mieli tam wstępu. Wpuścili nas dlatego, że jesteśmy poetami i śpiewakami. W ten sposób dostaliśmy się do miejsc, na które bardzo rzadko patrzyli biali, może z wyjątkiem australijskich antropologów i językoznawców. Siedzieliśmy w oknie, piliśmy herbatę, oni śpiewali, my śpiewaliśmy, chodziliśmy po puszczy, raz zastrzeliliśmy kangura i jedliśmy jego mięso. Większość czasu spędziliśmy w rejonie na zachód i południe od skały Uluru [najsłynniejsza skała Australii – przyp. red.]. Odwiedziliśmy uniwersytety w Sydney i Melbourne. W sumie byliśmy w Australii prawie miesiąc. Australijska dżungla była wtedy inspiracją np. do słów: „Na tyle szeroka, abyś ją widział przed sobą”.

Niewątpliwie Australia jest miejscem, gdzie można poczuć znaczenie tych słów, ale można to poczuć też w wielu innych miejscach, na zachodzie USA, w Azji Środkowej, w Afryce – po prostu tam, gdzie jest otwarta przestrzeń.

Tematem, o którym Pan często pisze, jest dzikość. Czy może Pan jakoś prosto wyjaśnić, jak rozumie Pan dzikość?

Najpierw należy oddzielić dwa terminy – dzikość (wild) oraz dzicz (wilderness). Są to ciekawe, angielskie słowa, czasami nieprawidłowo tłumaczone na inne języki. Rozmawialiśmy o tym dużo z ludźmi, którzy tłumaczyli moją książkę „The Practice of the Wild” (Praktyka dzikości). Na przykład w języku francuskim najbliższym znaczeniowo wyrazem byłoby słowo „sauvage”, ale skojarzenia z tym słowem bliższe są angielskiemu „savage”, co oznacza „dziki” w sensie wściekły, brutalny, srogi, ostry. Kojarzą się z nim te negatywne wyobrażenia. Dzikość nie łączy się z takimi skojarzeniami. Jest to właściwie pojęcie opisujące proces. Co oznacza „dzikie zwierzę”? Jest to zwierzę, które nie zostało udomowione, samo szuka pożywienia, rozmnaża się bez ludzkiej pomocy, nie potrzebuje leków i może iść, gdzie chce – jest wolne. Można by powiedzieć, że w słowie dzikość chodzi właśnie o taką samowystarczalność. Dzikie rośliny to takie, których nie sadzimy, nie podlewamy, nie nawozimy, lecz rosną same z siebie. Można by też powiedzieć, że jest w tym słowie pewne samokształtowanie. To rzeczywiste znaczenie słowa dzikość. Dzikość może się przejawiać na jakimkolwiek poziomie, np. jakiś zaułek w mieście może być dziki. Cokolwiek dzieje się w sposób naturalny, nawet na mikroskopijnym poziomie, jest dzikie.

Dzicz natomiast to pojęcie pokrewne. Dzicz jest przestrzenią, w której głównym procesem jest dzikość. Nie musi to koniecznie oznaczać, że chodzi o obszar nietknięty ludzką ręką. Chodzi o teren w 80-90 procentach dziki. Ludzie mogą tam chodzić, zbierać grzyby, ścinać jakieś drzewo czy upolować zwierzę, ale nie zmieniają jego naturalnych procesów. W dzicy może znaleźć się nawet jakiś mały ogródek, byleby większość pozostała nienaruszona. Całkowita dzicz to miejsce, na które człowiek nie ma żadnego wpływu. Obecnie oczywiście z wyjątkiem skutków globalnego ocieplenia.

W książce „Z powrotem przy ogniu” (Back on the fire) cytuje Pan swojego przyjaciela, Toma Birche, który mówi: „Dzikość obchodzi się ze mną jak z istotą ludzką... mam na myśli to, że traktuje mnie jak dorosłego człowieka. Nie stara się mnie chronić, rozpieszczać, nie zbuduje dla mnie drogi, nie będzie mi policjantem ani pracownikiem socjalnym, nie włączy mi kaloryfera i nie utuli do snu. I nikt nie wie, gdzie jestem”. Pan dodaje, że to jest właśnie istota tego, dlaczego warto chronić dzicz.



Gary Snyder. Fot. Matouš Mihaliček (ekolist.cz)

Tak. Tylko, że obecnie władza chce nas chronić również w dzicy. Gdy ktoś się dziś zgubi w dzicy, pójdą i będą go szukać. Tom Birch mówił o czasach, w których, gdy ktoś poszedł do dzicy, mógł polegać tylko na sobie. Ja to kocham. Gdy w przeszłości szliśmy w góry, nie mieliśmy żadnych telefonów komórkowych czy krótkofalówek. W ogóle nie myśleliśmy o tym, że ktoś nas może ratować. W USA jest dużo terenów dzikich. Choćby w parkach narodowych. Jeżdżą tam ludzie bez żadnego przygotowania i doświadczenia. Gdy wpadną w tarapaty, gdzieś zadzwonią, przyleci po nich helikopter, a jego właściciel policzy sobie 30 tys. dolarów. Władza próbuje dbać o ludzi, problem w tym, że nie wie, kiedy powinna przestać to robić.

Czy myślał Pan kiedyś o tym, jak dzicy są ludzie?

Jesteśmy ciągle dzicy. O wiele bardziej niż to sobie uświadamiamy. Nasze ciała są dzikie. Nie

rządzimy pracą serca czy oddychaniem. To się dzieje samo z siebie. Mamy zwierzęce ciało. Właściwie żyjemy w ciele dzikiego zwierzęcia. Nasze ego, cywilizowana świadomość, nie jest dzikie. Ale ukryta część myśli, którą śnimy, jest wciąż taka.

Praga, czerwiec 2007 r.

Wywiad przeprowadzono podczas pobytu Gary'ego Snydera w Pradze na Festiwalu Pisarzy Praga w 2007 roku. Pierwotnie ukazał się w piśmie „Ekolist” w lipcu 2007 r. Na stronie internetowej ekolist.cz znajdują się wiersze, o których w wywiadzie jest mowa. Wywiad przeprowadził Jan Stejskal. Polski przekład Jacek Winiarski i Vladimíra Tejnská.

Przypisy:

1. Tlingit – plemię Indian Ameryki Północnej. Sami określają swoje plemię nazwą Lingit, co w ich języku oznacza tyle, co „Ludzie”. Tlingici to plemię, które wytworzyło złożoną kulturę myśliwsko-zbieracką w rejonie Alaski Południowo-wschodniej oraz Archipelagu Aleksandra. Język tlingit jest bardzo znany nie tylko ze względu na swoją złożoność gramatyczną i leksykalną, ale także z uwagi na stosowanie pewnych fonemów, praktycznie nie używanych w żadnym innym języku (za Wikipedia).
2. Tao Te Ching – (Daodejing), pełna nazwa Laozi Daodejing, najczęściej tłumaczona jako Księga Drogi i Cnoty, uznawana niekiedy za pierwszą filozoficzną księgę w języku chińskim. Jest częścią podstawowego kanonu taoizmu, systemu religijno-filozoficznego, który narodził się w Chinach za panowania dynastii Zhou.

Gary Snyder (ur. 1930) – amerykański poeta, eseista, krytyk kulturowy i działacz na rzecz ochrony przyrody. Efektem dzieciństwa spędzonego w stanach Oregon i Washington było zafascynowanie Snydera przyrodą, górami, kulturą Indian (spisywał legendy Indian Hopi). W Reed College podjął studia z zakresu antropologii i literatury, które ukończył w 1951 r. Następnie zaczął studiować orientalistykę na uniwersytecie w Berkeley, gdzie nawiązał kontakty z poetami z ruchu beatników, protestujących przeciwko amerykańskiemu modelowi życia i zachodniej cywilizacji. W 1956 r. udał się do Japonii. W Kioto, pod opieką mistrza Odo Sesso Roshi, przez kilkanaście lat studiował zen. Odbił liczne podróże (m.in. przez 6 miesięcy przebywał w Indiach). W 1968 r., po powrocie do USA, rozpoczął karierę naukową, był wykładowcą na wielu uczelniach (m.in. w Berkeley). W 1985 r. Uniwersytet Kalifornijski w Davis przyznał mu tytuł profesora literatury angielskiej.

W twórczości Snydera widoczne jest zafascynowanie kulturą i filozofią Wschodu, umotywowane ich dogłębną znajomością. Poeta, którego światopogląd ukształtował się pod wpływem buddyzmu, odrzucał model cywilizacji zachodniej, protestował przeciw antropocentryzmowi, który nie brał pod uwagę rzeczywistości pozaludzkiej. W swoich filozoficznych lirykach zawarł przemyślenia nad rolą natury i religii w życiu człowieka. Inspiracji do swych dzieł szukał także w kulturach pierwotnych. Autor tomików poetyckich „Riprap” (1959), „Myths and Texts” (1960), „Six Sections from Mountains and Rivers without End” (1965), „The Back Country” (1968), „Regarding Wave” (1969), „Turtle Island” (1974 – otrzymał za niego Nagrodę Pulitzera), „Axe Handles” (1983), „Left Out in the Rain” (1986), esejów, które powstały pod wpływem obserwacji odmiennych kultur, m.in. zbiór „Earth House Hold” (1970). Snyder dokonywał także tłumaczeń poezji orientalnej na język angielski. Jest współpracownikiem prasy związanej z szeroko pojętą głęboką ekologią, a także jedną z czołowych postaci ruchu bioregionalistycznego.

„Przede wszystkim jestem pisarzem – poetą i eseistą. Ale jestem też długoletnim pracownikiem i mieszkańcem lasów Sierra Nevada” – tak Gary Snyder przedstawił się na początku czerwca 2007 r. w Pradze na spotkaniu z czytelnikami. „Wychowałem się na farmie mlecznej w lasach stanu Waszyngton. Nigdy nie byłem intelektualistą, pracowałem fizycznie” – mówił autor, który do Czech przyjechał na zaproszenie Festiwalu Pisarzy Praga. „Doiłem krowy, przygotowywałem drewno na

opał, pracowałem jako drwał, strażnik lasu, byłem cieślą, a także nauczycielem – i to było najtrudniejsze. Dziesięć lat mieszkałem w Japonii, gdzie byłem głównie z powodu buddyzmu”. W swoim kraju Snyder jest jednym z przedstawicieli tzw. Rady dorzecza rzeki Yuby. Jest to miejscowa grupa obywateli, która próbuje dać odpór naciskowi firm wydobywczych i pozyskujących drewno. W ten sposób chcą ocalić przed dewastacją resztki przyrody. Sam Snyder wspiera tzw. myślenie w kategoriach dorzecza. Co ma na myśli? Woda, która Wełtawą przyplywa do Pragi, łączy miasto z górami i jednocześnie z nich pochodzi. Rzeka przy tym nie jest tylko głównym prądem. W rzeczywistości tworzą ją wszystkie dopływy, aż po najmniejsze źródelka, które płyną wszystkie jednocześnie. „Zdrowie wody w centrum Pragi jest właściwie wynikiem zdrowia gór i całego systemu rzeczno” – tłumaczy Snyder.

Napisał kilkanaście tomów poezji, około 10 książek eseistycznych, wydał również zbiory przekładów z chińskiego i japońskiego. Po czesku opublikowano wybór jego poezji pod zbiorczym tytułem „Ta baśń jest dla niedźwiedzia” oraz cztery zbiory esejów – „Stare Drogi”, „Praktyka dzikości”, „Dom Ziemia” i „Miejsce w Przestrzeni”. W 2007 r. ukazał się także przekład jego ważnego zbioru poezji „Góry i rzeki bez końca”. „Pisarze, którzy zajmowali się przyrodą i wydają mi się interesujący, w większości są z Chin lub Japonii” – mówi Snyder. Za swych poprzedników uważa przede wszystkim Henry’ego Davida Thoreau i Robinsona Jeffersa.

Jestem jednym z pierwszych, którzy w pisaniu poezji reprezentują region amerykańskiego Zachodu. Jestem również jednym z pierwszych, który zaczął studiować literaturę wschodniej Azji i zainspirował się nią. Jestem również jednym z pierwszych, którzy do swej poezji włączyli język nauki. Ale to nie zmienia faktu, że podobają mi się słowa, które powiedział mój nauczyciel, Robert Duncan: Wszyscy pracujemy nad tym samym wierszem.

Snyder często wyraża stosunek do ludzi i przyrody.

Potrzebujemy polityków, którzy pracowali i w szkołach, i w fabrykach lub na fermach, a którzy cały czas piszą wiersze. Potrzebujemy intelektualistów i naukowców, którzy nie tylko studiują historię i ekologię, ale również chętnie tańczą i gotują. A to, czego potrzebujemy najbardziej, to ludzi, którzy lubią świat.